



Krzysztof Frydрых

część I z III

Sygnatura notacji: **N0316**

Data urodzenia: **05.06.1958 r.**

Data nagrania: **29.09.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 59 min, część III: 58 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Krzysztof Frydрых: Dzień dobry. Nazywam się Krzysztof Frydрых. Urodziłem się 5 czerwca 1958 roku w Płocku. Chociaż tak naprawdę nie czuję się związany szczególnie z Płockiem, zdecydowanie bardziej z Warszawą. Co przejawia się tym również, że bardzo staram się uczestniczyć 1 sierpnia w koncercie piosenek (Nie)zakazanych na Placu Piłsudskiego. Powstanie Warszawskie i historia Warszawy bardzo, bardzo mnie interesuje i bardzo działa emocjonalnie na mnie to, co się podczas wojny działo. Również z tego powodu, że cała rodzina mojej mamy mieszkała w Warszawie lub najbliższych okolicach i jest bardzo związana z historią tego miasta, z tym co tutaj się działo, z okresem wojny i po wojnie. Dlatego traktuję siebie jako urodzonego na wyjeździe w mieście Płocku. Rodzice moi Stanisław i Alicja Sobocińska przeprowadzili się do Płocka na skutek tego, że mój ojciec był oficerem straży pożarnej i w Płocku otrzymał przydział, posadę komendanta straży pożarnej Płocka. Mieszkaliśmy tam na ulicy Jerozolimskiej, w niewielkiej kamienicy na drugim piętrze, w bardzo skromnych warunkach. Pamiętam, że mama mi opowiadała, że po przyjeździe, jak rozpoczęła sprzątanie tego mieszkania, mycie podłóg, czyszczenie wszystkiego, powyciągała jakieś szpargały, jakieś gazety, resztki szmat z różnych dziur, z różnych szpar. I później jak wstała w nocy i zapaliła światło to praktycznie nie było gdzie stanąć, bo wszędzie chodziły karaluchy. To miejsce, gdzie stał dom było położone na skarpie, gdzie w pobliżu było wysypisko śmieci i stąd takie przykre okoliczności. Mama też tęskniła za rodziną, za Warszawą. Było to przecież daleko. Nie bardzo lubiła to miejsce zamieszkania. Twierdziła, że Płock to smutne miasto, że to miasto starych ludzi i źle się tam czuła. Po wielu latach odwiedziłem Płock, zresztą również w tym roku. Generalnie bardzo mi się podoba. Teraz to miejsce jest bardzo ładnie utrzymane, odnowione, piękne promenady. Mój tata jako komendant straży pożarnej dowodził tą jednostką. Pamiętam, że z jego opowieści, że brał udział również w filmie „Szatan w siódmej klasy”, gdzie była scena burzy nad jeziorem, pod tym pałacem, gdzie miał być jakiś skarb ukryty.

No i ten deszcz to właśnie, to właśnie straż pożarna z Płocka lała tę wodę. Co widać na filmie, że bardzo szczerze tę wodę lała. Mieszkał tam również z nami mój brat przyrodni Andrzej, jedenaście lat ode mnie starszy. Po dwóch latach przeprowadziliśmy się z Płocka do Legionowa pod Warszawą. Mieszkaliśmy tam na osiedlu wojskowym, takim niewielkim. Z tego powodu, że straż pożarna była wtedy w zakresie umocowana formalnie pod Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Czyli to też było takie troszkę może nie skoszarowanie, ale taki element, element tamtego państwa. Później, jak pamiętamy, ten strajk na Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w Warszawie właśnie dotyczył tego, żeby straż pożarna nie była pod Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, żeby została wydzielona. No i dzisiaj tak już nie jest. W szkole podstawowej, w drugiej klasie przeprowadziliśmy się do Warszawy. Bardzo moja mama chciała się do tej Warszawy przeprowadzić, być bliżej rodziny. Udało nam się zamienić to mieszkanie. Ojciec oszczędności złożył spore, które pozwoliły nam na odkupienie mieszkania, które było kwaterunkowe, ale po prostu umożliwiło zamianę tego mieszkania. Ta osoba, która mieszkała na ulicy Grochowskiej w Warszawie, przeprowadziła się do Płocka, a my mieliśmy to warszawskie mieszkanie w takiej starej kamienicy na ulicy Grochowskiej. Tam nie było ciepłej wody, nie było centralnego ogrzewania. Piece, węgiel, trzy piętra, noszenia węgla z piwnicy. Takie też warunki siermiężne, ale dużo lepsze niż w Legionowie z tego powodu, że były to dwa pokoje. Natomiast w Legionowie wszyscy mieszkaliśmy w pokoju z kuchnią, w takim małym dosyć mieszkaniu.

Artur Kłus: Którym państwo się przeprowadzili?

Krzysztof Frydрых: To była druga klasa szkoły podstawowej, więc miałem wtedy lat 9. W okolicach 10 lat. Mniej więcej tak. Gdy miałem mniej więcej 10 lat. W Warszawie chodziłem do szkoły podstawowej, która była niedaleko, później do liceum ekonomicznego. Z takim profilem technicznym. To była ekonomia i organizacja transportu samochodowego. Taki bardziej może w ekonomicznym liceum bardziej męski kierunek, jeżeli można byłoby tak ująć przy tych wszystkich przedmiotach księgowości, gdzie zwykle panie, dziewczyny były w szkole w tych pozostałych klasach.

Artur Kłus: Jakaś działalność nasza?

Krzysztof Frydрых: Może za dużo powiedziane działalność, ale włączyliśmy się do tego, co się działo wówczas w Polsce dopiero w okresie, gdy powstała Solidarność. Tata, mama i ja zapisaliśmy się do związków zawodowych. Do Solidarności wstąpiliśmy w miejscach naszej pracy. I w zasadzie nic więcej się nie działo pod względem takim politycznym, pod względem jakiegokolwiek działalności. Dopiero stan wojenny 13 grudnia zrobił rewolucję w naszym domu, w naszej rodzinie. Pamiętam ten dzień, kiedy zniknęła telewizja, zniknęły telefony. Przyszedł do mnie kolega, który mieszkał kilka budynków dalej. Czy słyszałem i wiem? No tak, słyszałem, wiem. „No to chodź, zobaczymy co się dzieje na mieście”. Na mieście to może za dużo powiedziane, bo przespacerowaliśmy się tam, gdzie mieszkaliśmy, po Bródnie i ze zdziwieniem zobaczyliśmy jak ludzie zaczynają pakować różne toboły, walizki, jakieś bagaże wciskać do tych małych samochodów, które wtedy rzadko kto miał. Do jakichś Wartburgów, do małych Fiatów. I się tak zastanawialiśmy, gdzie ci ludzie tak naprawdę chcą pojechać, bo nie wyobrażałem sobie. Stan wojenny jest w całej Polsce, za granicę się nie pojedzie. Więc gdzie oni wszyscy wyjeżdżają? Czy na wioskę, czy o co tutaj chodzi? To był taki pierwszy obrazek mój, z tego okresu stanu wojennego. Mama poleciała wtedy do swojego zakładu pracy. Pracowała w administracji. W administracji dzielnicy, w administracji osiedla. Podobno miał być tam strajk, ale

go nie było. U mnie w zakładzie pracy również tego strajku nie było. W ogóle tak trochę się kręciliśmy, szukaliśmy, gdzie tu się zaczepić, jak zacząć działać. To wszystkie, wszystkie te wątki, kontakty były porwane, nie było żadnej informacji, co dalej. Poza tym, że jeżeli ten stan wojenny, to strajk, ale gdzie i kto go prowadzi? Więc trudno tu mówić o dezorganizacji, raczej o braku organizacji, braku przygotowania na ten stan, który zaistniał. Mama wróciła po pewnym czasie ze swoim znajomym, który był przewodniczącym Solidarności. Nie pamiętam już w jakim osiedlu, czy w jakiej spółdzielni mieszkaniowej. W każdym razie okazało się, że on potrzebuje schronienia, ponieważ grozi mu internowanie. Zdaje się, że nawet to internowanie próbowało się odbyć, tylko nie trafili do właściwego mieszkania jak na razie. No i ten pan został u nas kilka dni. Żeśmy go gościli, rozmawialiśmy o tej całej sytuacji, były wspólne obiady, rozmowy podnoszące na duchu. Ja wtedy byłem bardzo dumny, że ktoś taki u nas jest. Niemalże jakbyśmy przechowywali w domu partyzanta jakiegoś. Po kilku dniach, gdy to zagrożenie okazało się, że minęło, że już go przestali tak intensywnie szukać, już wrócił do swojego domu.

Artur Kłus: Co dalej się z nim działo?

Krzysztof Frydrych: Nie pamiętam. Może nawet nie wiedziałem już, bo sam zacząłem na własną rękę próbować sprzeciwiać się temu, co się wydarzyło, tej sytuacji, temu stanowi wojennemu. Zwłaszcza w momencie, kiedy zginęli górnicy w kopalni Wujek 17 grudnia. To był taki... To było po prostu... To straszny cios był. Nie przypuszczałem, że do takich rzeczy w ogóle może dojść. Przede wszystkim uczucie wielkiej bezyty, bezradności i takiego zagubienia, że trzeba coś koniecznie zrobić, a nie ma z kim i gdzie iść. Było to kompletne, takie psychiczne rozbitcie. Żeby jakoś zająć siebie i może bardziej tak, żeby emocjonalnie się tak nie wypalać, sam zacząłem robić takie rzeczy na własną rękę. Jakies wieszać małe ulotki, plakaciki własnej produkcji w autobusach na jakiejś folii samoprzylepnej, która z któregoś zakładu pracy została przeze mnie na ten cel przeznaczona. Po kilku dniach zgłosił się do mnie kolega, z którym chodziłem po tym Bródnie i oglądałem te próby ewakuacji nie wiadomo dokąd mieszkańców. I powiedział, żeby może tę swoją działalność przerwać już, bo to się może tylko dla mnie skończyć. Natomiast on ma dla mnie propozycję. Jak się okazało, ktoś albo widział, albo rozpoznał w autobusach moje te małe plakaciki i ulotki. Brat kolegi był przewodniczącym i prowadził strajk w zakładach wytwórczych urządzeń telekomunikacyjnych – telefonicznych, telekomunikacyjnych Zwód na Pradze, które zostały tam spacyfikowane przez ZOMO. Te zakłady. I wspólnie z innymi osobami z Solidarności, głównie tymi, które nie zostały internowane, założył taką organizację, która nazywała się Vis. Było to porozumienie dużych praskich zakładów pracy typu Perun typu Farell, typu Zwód typu Zwar w tej części industrialnej Pragi, gdzie te zakłady były zlokalizowane blisko siebie, to wszystko w okolicach Wedla, z Wedla chyba też tam były osoby. I był to mój pierwszy kontakt z jakąś organizacją, która miała konkretny cel, która usiłowała jakoś skanalizować to działanie wielu, wielu osób i stawiać jakiś opór. W organizacji Vis głównie zajmowaliśmy się takimi rzeczami jak Plakatowanie, kolportaż, który był podstawą, był najmodniejszy w tym pierwszym czasie. Niemożliwe były manifestacje, niemożliwe były organizacje w jakiś inny sposób. Trzeba było dać znać, że nie wszystkich zamknęli, że są jeszcze ludzie, którzy będą chcieli działać i będą próbowali się upomnieć o tych, którzy są internowani, aresztowani, którzy będą mogli się sprzeciwić. Więc głównie w tym celu ten kolportaż był prowadzony, żeby zaistnieć, żeby dać świadectwo, że Solidarność nie została całkowicie zniszczona. Powstała gazetka "Vis a vis" ona się nazywała. W niewielkim nakładzie była drukowana. Kilkanaście numerów tej gazetki się ukazało do czasu aresztowań. Oprócz gazetki jeszcze były ulotki, jeszcze były organizacje manifestacji. Chodziliśmy na te ma-

nifestacje wspólnie, bo jakoś nie można było wysiedzieć w domu, żeby wzywać innych do tego, żeby wyszli na ulicę, a samemu jakby gdzieś tam się od tego odsuwać. Chociaż wielokrotnie mieliśmy przypominane, również w Grupach Oporu Solidarni, aby się nie angażować w jakieś bitwy uliczne, ponieważ z zupełnie innych powodów niż ta podstawowa nasza działalność możemy po prostu znaleźć się znaleźć w więzieniu. Wydawaliśmy również jakieś kalendarze, albumy fotograficzne. Z tego, co nam wpadło w ręce, to było „przefotografowywane” jakieś kasety z piosenkami Kelusa. Czy z piosenkami spod kwietnego krzyża, ponieważ w Warszawie w trzech lokalizacjach, które były sukcesywnie zresztą likwidowane przez milicję w ramach protestu z kwiatów układano kwietne krzyże. Najczęściej ten krzyż kwietny jeszcze miał w podstawie literę V, czyli tę literę zwycięstwa, która była symbolem zwycięstwa Solidarności. Pierwszy kwietny Krzyż był na placu obecnie Piłsudskiego, a wówczas zwycięstwa. I udało mi się tam nawet zaprowadzić kolegów z pracy, ponieważ ja pracowałem w Orbisie, róg Królewskiej i Marszałkowskiej w biurze, tam było biuro krajowe i zagraniczne, były wycieczki, no i tam zdarzało się, że wyszliśmy z tymi kwiatami i położyliśmy je na placu. Dołączyliśmy do tych innych kwiatów, które tam leżały. Chwilę postaliśmy i wróciliśmy. Bardzo to było budujące. To było bardzo symboliczne. Niedaleko, gdzieś skot stał z wojskiem. Jeżeli chodzi o pracę, to również było dosyć wygodne dla mnie przy tej działalności i dobre, że praca była 3-zmianowa i otrzymaliśmy przepustki, które mogły nas upoważniać do chodzenia po mieście również podczas godziny milicyjnej. W pracy, później, jak rozmyślałem nad tym, zachodziły takie dziwne rzeczy. Tam się... Tam była też organizacja Solidarności. Nie było żadnego strajku u mnie w Orbisie. Natomiast pamiętam, że przewodniczący kiedyś zapytany o to „No i co, Jacek? Co my robimy?” odpowiedział: „No co robimy? Nic nie robimy, ja nic nie będę robił”. Przyszli po mnie w nocy, zabrali mnie, posadzili na krześle. Pytali się, co będę robił, a za mną stanęło dwóch z karabinami. Ja sobie mogłem różnie myśleć i powiedziałem, że nic nie będę robił. No nie wiem, co im przyjdzie do głowy. No więc w tym Orbisie nic się nie działo. Natomiast były takie dziwne rozmowy i zastanawiam się, kto tak naprawdę te rozmowy... Dlaczego one miały miejsce? Nie bardzo to rozumiem. Teraz się zastanawiam, czy w ogóle nie było jakiejś sytuacji takiej, że oprócz tego ataku, takiego typowego, że wpadną do domu, zabiorą, rzucą tam do suki i zawiozą do aresztu, czy nie była próba jakiegoś zastraszania, zniechęcania do jakiejkolwiek działalności, ponieważ przyszła do nas kobieta, która była kierowniczką jednego z działów. Nigdy z nią nie rozmawiałem prywatnie, natomiast ona przyszła do nas i zaczęła nas prosić, żebyśmy niczego nie próbowali robić, nie stawiali żadnego oporu. No bo co się stanie, jak wszystkich was, mężczyzn zabiorą wszystkich ojców? I co będzie wtedy z nami, z kobietami? Dziwne. Teraz... bardzo dziwne wrażenie odniosłem wtedy, czy to rzeczywiście była troska, czy to była próba jakiejś takiej dodatkowego nacisku na to, żeby zniechęcić do jakiejkolwiek działalności. Później zresztą zainicjowano jakieś spotkanie z człowiekiem z zewnątrz. Ja tam na tym spotkaniu chyba byłem z kolegą też z Solidarności. We dwóch nas zaprosili i ten człowiek opowiadał o jakichś różnych rzeczach, które się tam dzieją w Polsce. Nie bardzo wiem, kto to był, on się nie przedstawił, natomiast mówił, powiedział niemalże wprost: „I tak nie dacie rady”. Więc jakaś inwigilacja była. Również z tego, co mówiła dyrekcja Orbisu to uprzedzała nas przed tym, żeby uważać na siebie, ponieważ jest to miejsce szczególnie wrażliwe. Nie wiem czy geograficznie ze względu, że Warszawa, czy z jakichś innych powodów, ze względu, że Orbis. Na pewno to miejsce było istotne, jeżeli chodzi o ucieczkę z kraju, ponieważ jak już ruszyły jakiejkolwiek wycieczki, szczególnie na mundial w Hiszpanii, no to bilety były wykupywane na pniu na te wycieczki i ludzie nie wracali. Ale oprócz tych, którzy wyjechali, bo moi koledzy i koleżanki z pracy też taką wycieczkę sobie zafundowali i zostali we Francji, to dochodziło do tego, że autokar nie mógł wrócić, ponieważ i kierowca autokaru też zostawał i trzeba było jeszcze kogoś innego wysłać, żeby sprowadził ten autokar, który gdzieś tam stał na parkingu z powro-

tem do Polski tutaj. No więc to było jakieś dziwne szaleństwo w tym naszym kraju, oprócz tych porwań samolotów na Tempelhof, co się tam słyszało, to jeszcze wszelkimi możliwymi metodami ludzie próbowali się wydostać. Po dwóch czy trzech latach, nie pamiętam w tej chwili dokładnie, ponieważ nie ma na ten temat żadnej dokumentacji, w organizacji Vis, w której byłem, była wpadka. Aresztowano dużo osób, w tym również przewodniczącego Związków Zawodowych Ruchu, czyli kiosków Ruchu, tutaj tego kolportażu całego. Co ciekawe, mnie nie zamknięto, mimo że dzień wcześniej żeśmy u mnie wspólnie grali w karty do północy. O szóstej rano już do niego przyszedli do mieszkania. Wiemy to, że spodziewano się tego, ponieważ ja kilka dni wcześniej również tam on czyścił mieszkanie, ja wynosiłem od niego różne rzeczy. Miał tam jakieś znaczki, jakieś części radiowe, które miały służyć chyba do Radia Solidarność czy do jakichś nadajników. No ale wydawało się, że wszystko będzie dobrze. Ja się tak zastanawiałem później, co się stało, że mimo wszystko również nie znalazłem się w tym towarzystwie, które zostało z mieszkań wyprowadzone i zawiezione do aresztu, a później na Rakowiecką. Bo to były osoby, z którymi bardzo blisko współpracowałem. Wracając do mieszkania, widziałem człowieka, który stał na klatce schodowej schowanego za gazetę. To troszeczkę wyglądało jak ze „Stawki większej niż życie”. Sądziłem, że rzeczywiście to już pora na mnie przysła, ale nic się jednak nie wydarzyło. Odsunąłem się na jakiś czas od wszelkiej działalności ze względu na te aresztowania i tak prawdę mówiąc czekałem, kiedy przyjdzie pora na mnie, a w tym czasie zająłem się działalnością prywatną. Władza wtedy wydała jakąś ustawę czy rozporządzenie. Nie wiem, co to było. To była jakaś restrukturyzacja gospodarki i z urzędów państwowych mogli odejść ludzie, którzy otrzymywali odprawę półroczną. To była odprawa 6 pensji, ale musieli się zobowiązać do tego, że nie będą pracować przez pół roku w sektorze państwowym. Więc ja sobie taki urlop zafundowałem, bo tak naprawdę czemu nie? Wtedy z kolegami, którzy ocalili z tego Visa, próbowaliśmy założyć sklep warzywny. W okolicach, tam gdzie mieszkaliśmy na Bródnie. Kupiliśmy jakiś samochód. Jak się okazało później, przy remoncie tego samochodu, który chyba już nigdy tak naprawdę nie pojechał dalej niż do miejsca, gdzie był remontowany. Była to dawna nyska policyjna, tzw. suka. To wyszło podczas zdzierania lakieru z tego samochodu, więc nomen omen nie posłużyła nam to jako dobra wróżba. I rzeczywiście ta przygoda ze sklepem skończyła się po kilku miesiącach. Ten sklep był też taką przykrywką dla mnie, że mam zupełnie inne zajęcie niż jakaś walka z tym systemem, z komunizmem, czy z tą władzą. Zatrudniliśmy się... Nie kupiliśmy tego sklepu, myśmy wydzierżawili. To był też ciekawy, wątek, ponieważ osoba, od której ten sklep żeśmy wydzierżawili jak się okazało, była, ten pan był zawodowym szulerem karcianym. Ale jakby to nie było w związku z tym, że nam się nie powiodło, on potrzebował przykrywkę, że w ogóle pracuje i ma jakiś sklep. Natomiast nocami gdzieś tam grał w jakichś tajnych kasynach czy nie wiadomo gdzie. Natomiast my mieliśmy zatrudnienie i oficjalnie wszyscy byliśmy bardzo zajęci jakąś pracą. Natomiast jak widać było zewnątrz, żadną działalnością polityczną czy podziemną. Nie udało nam się tego sklepu utrzymać. Ze względów ekonomicznych nie daliśmy rady. To były trudne czasy. I wróciłem ponownie do Orbisu. Ponownie mnie tam zatrudniono po tym półrocznym płatnym urlopie, jaki sobie zrobiłem. Wypuszczono... Po roku czy dwóch, po tych aresztowaniach, była amnestia. I moi koledzy i koleżanki wyszły z więzienia. Współpracownicy Visa. I do mnie któregoś wieczoru przyszedł właśnie Maurycy, z którym grałem w karty, a później – to jego pseudonim – a później go o szóstej rano zabrano z domu. Z drugim kolegą, który prowadził antykwariat i też był w Visie i też był aresztowany razem ze swoją dziewczyną. Prawie ich nie poznałem, jak otworzyłem drzwi. Po prostu była ich połowa – tak byli potwornie wychudzeni i ze względu na to karmienie, na ten posiłek, który dostawali na Rakowieckiej, nerwy i warunki, jakie tam Były. Po prostu połowy ich nie było. I dowiedziałem się, że jeden z nich tak naprawdę powiedział o mnie, gdzie ja mieszkam, jakie były moje zadania, jaki był mój pseudonim. Miałem wtedy pseudonim Alex i zdziwił

się, że w ogóle mnie nie zamknięto, że nie miałem żadnej rewizji, żadnej wizyty. Do tej pory nie wiem dlaczego tak się stało. Mogę tylko przypuszczać, że może nie wszystkich wtedy zamykano i zostawiano jakąś część po to, żeby zaprowadziła do innych, do innych grup, czy żeby dalej pociągnąć później te aresztowania. A to, że akurat ja zajmę się tym sklepem może uchroniło również innych od tego, że ich nie aresztowali. Nie miałem oczywiście pretensji. Powiedziałem, że absolutnie nie mam pretensji, że tak się stało, że on się wygadał, ten kolega. Ponieważ z tych opowieści, z tych relacji, jakie do nas dochodziły, co się działo w więzieniach, co się działo w miejscach internowania, nie dałbym głowy i słowa honoru, że również bym się nie złamał. Tam wrzucano ludzi do cel z przestępcami. Ci przestępcy potrafili też być może współpracować ze Służbą Więzienną, próbować łamać tych ludzi. Poza tym tak jak wyglądali, to widać było. Widać było, jakie trudne to są warunki. I rozstaliśmy się w przyjaźni. Później się spotykaliśmy również. Już próbowaliśmy może nie takiej działalności na tym poziomie, która była poprzednio, ale przynajmniej wspólne takie spotkania były bardziej towarzyskie. Robiliśmy sobie takie spotkania, na których po przeczytaniu jakiejś książki czy obejrzeniu jakiegoś filmu dyskutowaliśmy na ten temat, co by można było przenieść na przykład jeżeli chodzi o walkę Gandhiego w Indiach na nasz grunt. Czy można byłoby to jakoś zaszczyć tutaj, w tych realiach? Wrócił kolportaż z czasem, wróciło również ulotkowanie, robienie zdjęć. Powoli te osoby zaczęły wchodzić w te buty, w których były przed aresztowaniem. Byliśmy taką wspólnotą, dosyć jednak zamkniętą, która nie wychodziła na zewnątrz i ze względów bezpieczeństwa również nie spotykaliśmy się, nie jeździliśmy gdzieś na zewnątrz. Więc to były nasze jedyne przyjaźnie, jedyne związki, w których mogliśmy czuć się bezpieczni. Pamiętam jeszcze taką sytuację, może spoza już działalności, ale w stanie wojennym, którą opowiadałem różnym osobom, żeby poczuć klimat tego czasu. W Orbisie, ponieważ hotele były puste, nie było żadnych imprez, zrobiono dla pracowników taki projekt, żeby jeździć po lepszych hotelach w Polsce orbisowskich na weekendy i za jakieś niewielkie pieniądze korzystać tam z obiadów, z okolicy pięknej, ze spędzenia nocy. Jeden taki z wyjazdów był do Karpacza, do hotelu Skalny. To chyba hotel skalny, tam najlepszy hotel orbisowski, zresztą najlepszy hotel wówczas w Karpaczu. No i żeby tam wyjechać trzeba było w urzędzie, w Radzie Narodowej, na Pradze, na Wójcika załatwić sobie przepustkę, która umożliwiała opuszczenie Warszawy. Zdaje się, że niewiele osób tę przepustkę sobie załatwiło. Ja sobie załatwiłem. I była rzeczywiście kontrola w tym autobusie. Weszły jakieś ZOMO, wojsko czy coś tam, te nasze zielone ludziki. I kilka osób pokazało, w tym ja, to pozwolenie, tę przepustkę i dali sobie spokój z tym, żeby następnym tam wyciągać i sprawdzać te dokumenty. Dojechaliśmy do tego hotelu Skalny w Karpaczu i pamiętam wtedy. Ja byłem jakiś czas temu w Karpaczu i mam takie porównanie. Wtedy tam było po prostu ciemno, praktycznie na ulicach nie paliło się światło, nie paliły się latarnie. Znaleźliśmy sobie jakiś sklep z alkoholem otwarty i próbowaliśmy zrealizować tam kartki na alkohol, bo wszystko było, podstawowe rzeczy było kartkowane: mięso, masło, buty, cukier, alkohol, papierosy. Jak się okazało, te kartki warszawskie ja miałem przystępowane, że można je gdzieś w Polsce zrealizować, niekoniecznie tylko w Warszawie. Te wydzierane numerki. Nie wystarczały na to, żeby, żeby ten alkohol kupić, ponieważ oprócz tej kartki trzeba było jeszcze oddać pustą butelkę po alkoholu, żeby dostać pełną. No ale skąd ją wziąć? Stał jakiś człowiek przy drugiej ladzie. I to był naprawdę rekord świata, bo on proponował za jakąś opłatą puste butelki na alkohol. Czyli to tak jak te koniki pod Pewexem zamieniały bony na dolary, złotówki na bony. To on jakby za jakąś opłatą dawał tę pustą butelkę. Dodawało się do tego kartkę i można było otrzymać pełną butelkę z alkoholem. W tym Karpaczu zresztą też był jakiś dom, gdzie trzymano internowanych w jakiejś willi. Nie było tam dojścia. To było gdzieś w górnym Karpaczu. A moja koleżanka miała też ciekawą przygodę w górach, bo wybrała się trochę dalej w stronę czeskiej wówczas granicy. Troszkę za daleko się zapuściła. Wtedy jeszcze padał śnieg

w zimie i ten śnieg leżał i to były duże zasypy śniegu. I ona, żeby odpocząć przysiadła na jakimś kamieniu. Tylko że ten kamień okazał się tak naprawdę hełmem żołnierza. Oni tam leżeli w nocy na jakiś pałatkach, przysypani tym śniegiem, zamaskowani. I po rozmowie dowiedziała się, że oni czekali na działaczy Solidarności, którzy będą uciekać przez granicę do Czech. No taka dziwna przygoda to była. W każdym razie oni byli śmiertelnie przekonani, że robią dobrze i że tutaj powinni tych działaczy wyłapywać, bo będą uciekać. I to jest walka z jakąś kontrrewolucją. Nie wszyscy chyba takie... Na pewno nie wszyscy mieli takie przekonania, bo na Bródnie jak było nasze spotkanie, jakieś takie organizacyjne w tym Visie u kolegi, który też niedaleko mieszkał. No cóż, często spotkanie kończyło się jakimś wspólnym winem czy wspólnym kieliszkiem dla odprężenia. Nie można było tego nigdzie kupić. Można to było kupić tylko na tzw. metach. I kolega wyszedł po ten alkohol, że jak już skończymy te wszystkie narady, jak skończymy tę wojnę, już wreszcie będziemy wiedzieli, jak rozprawić się z wrogiem, to wtedy sobie zrobimy, zrobimy jakieś przyjęcie. No i my jeszcze byliśmy zajęci tym planowaniem zwycięstwa nad komunizmem. Kiedy otworzyły się drzwi, wszedł kolega, a za nim czterech żołnierzy z długą bronią. On poszedł podczas godziny policyjnej, przepraszam, milicyjnej po ten alkohol. Zamiast z alkoholem, wrócił z nimi. Myślałem, że to już jest koniec, że po prostu przyjechali po nas i nas stąd wszystkich wyciągną. Jak się okazało, szkoda im się zrobiło tych chłopaków, którzy stali na mrozie na dworze i zaprosił ich po prostu do mieszkania. No, ręce opadły nam troszkę, że tutaj mamy tajne zebranie, a tutaj akurat wchodzi wojsko i będziemy mieć takich gości. Ale okazało się, że chłopaki były bardzo, bardzo mili, że po ten alkohol zgodzili się pójść i eskortować kolegę, żeby go żadna milicja po drodze nie złapała. Wrócili dobrze zaopatrzeni i żeśmy do rana spędzili mile z żołnierzami tę noc. Myślę, że mogli się domyślać co tam się dzieje, ale mieli też swoje poglądy, bo byli to chłopcy z przedłużonej służby wojskowej, czyli po dwóch latach mieli już wyjść. Niestety przedłużono im, więc też nie mieli dobrego nastroju i sympatii do tej władzy również nie mieli z tego powodu, że nie są w domach, tylko gdzieś tam na ulicy. Ta znajomość się opłacała, ponieważ jak ten kolega Grzesiek kiedyś wracał do domu, też chyba po tej godzinie 22-ej, to zatrzymało go ZOMO, czyli oddziały milicji tych piłkarzy, co głównie tłumili, tłumili manifestacje no i tam doszło do jakiejś sprzeczki. Jak się okazało, po drugiej stronie ulicy akurat szli ci żołnierze, którzy byli u nas na tym krótkim przyjęciu do białego rana. Zainteresowali się sprawą i w paru słowach ostro powiedzieli tym dwóm chyba zomowcom, co mają zrobić i dokąd sobie pójść i zostawić kolegę w spokoju. Odprawdzili go do domu, wszystko dobrze się skończyło. Takie to były klimaty początku stanu wojennego. Mój kolega, którego poznałem przez mieszkanie kontaktowe, gdzie kontaktowały się osoby z organizacji VIS, Piotr... zaproponował mi zmianę działalności. Piotr Izgarszew proponował mi zmianę działalności. On mieszkał piętro wyżej niż to mieszkanie było kontaktowe z Visa i często tam bywał. W ogóle to było tak, że jeżeli mowa jest o jakiejś konkretnej organizacji, to nigdy nie było tak, że byliśmy skupieni tylko na jednym. To była taka działalność, że każdy miał kontakt jeszcze z kimś tam, jeszcze z kimś tam, to tak pączkowało. Więc te organizacje jakby łączyły się przez pojedyncze osoby i miały ze sobą kontakty, tylko nie takie gremialne, tylko przez jedną osobę. I taką osobą też był Piotr, który często bywał w mieszkaniu tym visowskim. Z kolei on był z grup specjalnych. Grupy oporu przedtem miały nazwę Grupy Specjalne i głównie ta organizacja zajmowała się takimi akcjami specjalnymi, w tym ochroną manifestacji, które były organizowane na mieście. Być może miałem przyjemność skorzystać z takiej ochrony 3 maja, kiedy to była wielka manifestacja w 1983 roku. Jedyna w Warszawie, chyba udana. Nie, nie 1 maja to była udana manifestacja, a potem 3 maja już była ostra interwencja ZOMO. I ja brałem udział w tej manifestacji 3-majowej. Nie udało mi się tam przebić pod katedrę. Było kilka kordonów milicji, ale krążyłam po mieście z różnymi grupami i w końcu znalazłem się na Placu Bankowym. Na tym Placu Bankowym też było jakieś zamieszanie. Były jakieś okrzyki, była milicja. I w ja-

kiejs grupce kobiet zaczęło coś się dziać. Bardzo blisko mnie i zobaczyłem, że jakiś mężczyzna ubrany po cywilnemu wykręca ręce starszej pani, która ma znaczek Matki Boskiej w biało-czerwonych barwach, taki jak Wałęsa nosił. Ona się wybrała prawdopodobnie na miasto, być może na manifestację, a być może, żeby po prostu okazać swoją obecność. I ten ubek zaczął wykręcać jej ręce i zaczął ją gdzieś ciągnąć za sobą. Ja się na niego od tyłu rzuciłem, złapałem go za ręce, ścisnąłem, on puścił tę kobietę i odepchnąłem od siebie. Jak się okazało to mimo, że ten mężczyzna był sporo starszy ode mnie i szczupły, to potrafił mnie tak złapać, że nie mogłem się wydostać z tego uścisku. Jakoś za kołnierz zaczął mnie dusić, ja zacząłem jego dusić i zaczęliśmy się zmagać, tarzać niemalże po tej ziemi. Kobiety, które tam były okazały się bardzo odważne, bo rzuciły się na niego z pazurami. Ta twarz to po prostu krew mu leciała z tej twarzy. Tak rozdrapały mu twarz, a on nie chciał mimo to się ode mnie odczepić. Wrzeszczał, że zaraz mnie doprowadzi do radiowozu i wtedy on się ze mną policzył za to, co zrobiłem, że go tam od tyłu złapałem i pchnąłem. Nie mogłem się uwolnić. Raz leżeliśmy, raz staliśmy. Ten kocioł tak trwał. Nagle usłyszałem, poczułem takie klepięcie w ramię. „Schyl się”, odruchowo się schyliłem. Gość dostał taki cios, że od razu fiknął. Dwóch takich fajnych chłopaków krzyknęło do mnie tylko „spadamy” i żeśmy zaczęli uciekać. Być może byli to właśnie chłopcy z Grup Specjalnych, którzy pomagali tym osobom, które tam ciągnięto do tych bud, suk, które pałowano. Jeszcze tam krzyknęli do mnie „To ty leć dalej” i gdzieś polecili może na następną akcję czy komuś innemu pomagać. Ja jestem bardzo, bardzo wdzięczny. Super chłopaki. Tylko, że ja biegnąc, biegnąc, biegnąc już po prostu straciłem siły i gdzieś w Ogrodzie Saskim praktycznie upadłem ze zmęczenia, bo to było kilka godzin po prostu latania po mieście, Uciekania, formowania się w jakieś nowe pochody. I to ostatnie zmaganie się z tym ubekiem już doprowadziło do tego, że wysiadł mi organizm i się przewróciłem ze zmęczenia. I wtedy podeszły do mnie dwie dziewczyny. Wiedziały, kim jestem, bo jeszcze nosiłem na rękawie opaskę biało-czerwoną. Więc miały pewnie wiedzę, że jestem z którejś z tych rozbijanych manifestacji trzeciomajowych. Wzięły imię pod rękę i zaczęły prowadzić przez ten Ogród Saski, jak nie wiem, jak jakiegoś rannego. Doszliśmy do róg Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej tam jechały samochody z jakimiś zainstalowanymi katuszami na tych na tych samochodach, z których strzelano gazem po oknach, po ludziach, wszędzie gdzie popadło, żeby po prostu zadymić to miasto. I niestety jedna z tych dziewczyn dostała jakimś odłamkiem w oko. Druga się nią zaopiekowała. Nie wiem, co dalej się stało, czy poleciały na pogotowie czy nie. To był po prostu obraz nędzy i rozpaczy. To co się działo, tak jak zresztą wyglądaliśmy, bo jak później stałem na przystanku tramwajowym, żeby wrócić do domu, to jakaś kobieta na mnie spojrzała i zaczęła płakać. Musiałem nieźle wyglądać. Cały wytwarzany, śmierzący gazem w jakimś brudnym ubraniu. Więc takie było prawdopodobnie moje spotkanie z Grupami Specjalnymi. Jestem im wdzięczny za to, że mnie wyciągnęli z tych tarapatów. Więc Piotr Izgarszew zaproponował mi wstąpienie do Grup Oporu, które były kontynuacją tych Grup Specjalnych. I chętnie, chętnie się zgodziłem. Zgodziłem się głównie dlatego, ponieważ była jakaś stagnacja. My żeśmy drukowali pisemka, żeśmy te pisemka roznosili, był ten kolportaż, ale to wszystko było takie... To wszystko zaczynało po prostu zamierać. Brak było jakiegoś działania, jakiegoś nowego ducha. Sam kolportaż się stał, prawdę mówiąc, nudny. To było zamienianie się jednych pisemek na inne pisemka, wnoszenie do punktów, wynoszenie z punktów. Nic się nie działo w Polsce wtedy, nie było strajków. Widać było, że Solidarność wkrótce, jeżeli będzie dalej, dalej opierać się na kolportażu, na tej galanterii, która była wtedy drukowana, czyli znaczkach pocztowych, kopertach, kalendarzach, jakichś albumach, zbieranie tych składek. Oczywiście te pieniądze były potrzebne dla tych, którzy tych pieniędzy potrzebowali, czy jakichś rozbienia wystaw, licytacji obrazów na tych wystawach, żeby też komuś pomóc. To wszystko już po prostu zrobiło się dla mnie takie trochę nudne. I Piotr zaproponował wtedy wstąpienie do Grup Oporu. „Słuchaj, zrobmy coś, róbmy jakieś

akcje na mieście". Zawsze mi się podobało, jak usłyszałem o tym, że jakąś kukłę Jaruzelskiego powieszono na Barbakanie w Warszawie. Były zdjęcia. Mówię: „No, ale to jest fajna robota”. Przynajmniej ludzie widzieli, że odważyliśmy się wyjść na zewnątrz, że nie ta bibuła, nie ta piwnica, nie te powielacze, nie to sito, tylko... Ale że jest coś takiego spektakularnego.

Artur Kłus: Kiedy padła ta propozycja?

Krzysztof Frydrych: Ta propozycja padła na początku 1986 roku. W związku z tym pierwszym transparentem, bo zaczęliśmy od tego, że mieliśmy powiesić transparent we dwóch. Piotr i ja.

Artur Kłus: Jeszcze jakby pan powiedział o swoim pseudonimie. Jaki to był pseudonim?

Krzysztof Frydrych: Tak, pseudonim jeżeli chodzi o Visa był Aleks. Później z jakiś powodów wybrałem sobie pseudonim „Brodaty”, chociaż brodę nosiłem krótko, potem już nie, więc pseudonim bardzo dobry, bo nie miałem tej brody. Z drugiej strony pseudonim Brodaty chyba nosiła połowa ludzi w tym mieście, bo w większości zapuszczali brody po to, żeby się szybko ogolić i zmienić, zmienić fizjonomię, gdyby byli poszukiwani. Więc ja byłem tym Brodatym, bez brody. Brodę miał Piotr. Czyli w komplecie, jakby się to wszystko zgadzało. Pierwszym transparentem, który mieliśmy powiesić, to był transparent związany z awarią elektrowni w Czarnobylu. To był kwiecień 1986 rok. I ten transparent udało nam się powiesić we dwóch. Powiesiliśmy go na budynku kina Wisła na placu wówczas Komuny Paryskiej, a obecnie Wilsona i przedtem również Wilsona. Transparent był piękny. Nie wiem, gdzie Piotr załatwił malowanie tego transparentu, przypuszczam, że u naszej koleżanki. Ale naprawdę przepiękny był transparent. Był to znak promieniowania takim, jakim są znaczone różne przedmioty czy pudła, gdzie są elementy promieniotwórcze, czyli taka jakby trójlistna koniczyna jakby taka. No i hasło było też bardzo fajne, że idea komunizmu promieniuje na cały świat. Były tam również ulotki i to nam się udało powiesić na budynku kina Wisła. Kiedy? Wtedy, kiedy był największy ruch. Tylko, że niestety transparent czytelny był dosyć krótko, bo tylko kilka minut, ponieważ wiatr go obrócił na drugą stronę i wisiał tak w sposób skręcony jak klepsydra. Wielka była szkoda, chociaż informacja po mieście się rozniosła, bo też na Bródnie słyszałem od innego kolegi, ale transparent wywalili. „Słyszałeś?” „No, słyszałem”, ale niezadowolenie nasze było duże, ponieważ naprawdę to była bardzo kosztowna impreza. Transparent był wielkości 3 na 7 metrów, więc trzeba było olbrzymie płótno zszyć. Trzeba było farbami, dobrymi farbami namalować, trzeba było włożyć ulotki, trzeba było liny kupić, no i w ogóle w ogóle zaryzykować wywieszenie tego transparentu w takim miejscu bardzo publicznym, w dodatku w okolicach kościoła św. Stanisława Kostki, gdzie ksiądz Popiełuszko przecież miał swoje wspaniałe msze za Ojczyznę. Wróciliśmy pół-zadowoleni z tej całej akcji i zmodyfikowaliśmy wieszanie tych transparentów. Może warto powiedzieć technicznie jak to wyglądało? Jak wyglądał taki transparent? Bo przeniesienie takiego transparentu, który ma wysokość siedmiu metrów, szerokość trzech, musiało się odbyć w taki sposób, nie do końca zwracający uwagę. Więc transparent to przede wszystkim było to płótno, na którym było jakieś odpowiednie hasło, napis, symbol, znak. Najczęściej 3 na 7 takie, żeby było doskonale widoczne z daleka. Górne i dolne poprzeczki. Górne poprzeczki składały się z dwóch elementów, które się składały na zawiasie. Dolne poprzeczki składały się również z dwóch elementów. Tylko że tutaj nie było zawiasów, ale była np. dętka rowerowa lub inna guma, która powodowała rozprężenie tych dolnych dwóch elementów. I że te dwa kawałki jak listwy się prostowały

i mając tam po półtora metra, miały razem 3 metry. Chroniło to przed takim zakręceniem tego transparentu przez wiatr, ponieważ cały czas sprężynowała ta guma. Natomiast na górze, jeszcze w momencie, kiedy ten transparent się przygotowywało na dachu do wywieszenia, wkładało się taką usztywniającą poprzeczkę do tych dwóch składowych elementów. Transparent w sumie miał półtora metra, więc zawinięty w jakiś kawałek dywanu mógł uchodzić za przedmiot niesiony do pralni. Transparent był zabezpieczony jeszcze dodatkowo na dole obciążnikami. Najczęściej były to pręty zbrojeniowe bardzo dobrze zamocowane, żeby ten transparent był dobrze obciążony i mniej się ruszał na wietrze, bo to był potężny żagiel. Tak naprawdę to była wielka siła. Jeżeli był zbyt duży wiatr, nie można było wieszać tych transparentów. Jeden z takich transparentów urwał się razem z kawałkiem rynny na Puławskiej kiedyś. I później chyba tę rynnę musieli, ten dom jakoś tam poprawiać, tę rynnę, bo ta rynna zniknęła z końca dachu. Wtedy właśnie był wieszany transparent przed burzą bodajże i po prostu pofrunął razem z tą rynną. W każdym razie ją urwał. Ten transparent... W transparencie jeszcze było zawiniętych czasami do 20-30 tys. ulotek. Bardzo często było to piśmko Grup Oporu „Kurier Mazowski”. Drukowane na małym formacie dwustronnie, w formacie takich ulotek z jakimiś ważnymi informacjami albo odezwą regionu. Całość była zawinięta w rulon i zabezpieczona żyłkami, pod którymi były zatknięte lonty wolnotłące. Lonty były wykonane ze sznurka bawełnianego i saletry amonowej, wysuszone i one wtedy dymiły i wolno się paliły, tliły. Po przepaleniu takiej żyłki przez ten lont transparent się rozwijał, wyskakiwały z niego ulotki. No i było piękne widowisko. Dodatkowo żeby uatrakcyjnić i przedłużyć tę całą naszą akcję jeszcze wieszaliśmy ulotki z tzw. przewieszek, gdzie były różne długości lontów, które uwalniały sukcesywnie te przewieszki, gdzie było powiedzmy po 2000 ulotek w jednej przewieszce, ich ich było powiedzmy 5 albo 10 i one co jakiś czas odpalały i spadały i spadały i spadały sukcesywnie, a ludzie wybierali, wybierali, wybierali te ulotki. A jeszcze bardzo fajnie było jak przyjeżdżała milicja i te ulotki im na głowę leciały nie wiadomo skąd. Takie przywieszki również stosowałem na Bródnie. Miałem takie ulubione miejsce. Jak ludzie wracali z kościoła Świętej Marii Magdaleny na Bródnie i tam taki budynek jest długi i akurat jest miejsce, taki plac, gdzie ludzie się rozchodzą albo łączą idąc lub wychodząc z kościoła. I tam stosowałem też takie ulotki na przewieszki. Później się dowiedziałem od chyba mojej mamy, która pracowała w administracji i jej dozorczyni powiedziała, już po 1989 roku. Tam mieszkał Balcerowicz, który robił reformę u nas w Polsce, profesor Balcerowicz. No i jak Balcerowicz został już ministrem finansów. Wtedy, to mama się dowiedziała od dozorczyni, że dozorczyni już od dawna podejrzewała, że te ulotki to Balcerowicz wyrzuca przez okno tam na tym Bródnie. Więc taka może jeszcze anegdota, ale prawdziwa.